21. Października. **Nr. 43.** 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca (cztery arkusze druku.)

Cena:
kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy: „Do wydawnictwa „**Nowin**" we Lwowie w drukarni **Kornela Pillera**.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej."

LUDZIE DOBRYCH CHĘCI.

Przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

X.

Spadało szczęście z nieba; bogaci jacyś a nieznani stryjowie przekazywali swe skarby synowcom swoim; gdzieś w nowej części świata dalecy krewni wzywali kuzynków do podziału; majętni ludzie szukali rąk do pracy... wszystko to i temu podobne bywało — w powieściach.

I wszystko to spotykało ludzi jedynie za to, że byli uczciwsi ot, trochę od innych. Byli to aniołowie, to też po anielsku obchodzili się z nimi autorowie i świat otaczający ich.

Aleksander Szeremet chodził nie za szczęściem, ale za pracą i tej trudno mu było znaleźć. Nie zakochał się w panience bogatej; ona nie rzuciła się w jego objęcia i nie obarczyła go wioszczyną bodaj lichą. Pani Heterowska podawała wprawdzie środki ratunku, ale podawała oraz i rękę jakiejś młodej kuzynki, której Szeremet przyjąć nie mógł. I od tej chwili wiodło mu się tak, że ktokolwiek co podawał, to było wręcz przeciwne albo uzdolnieniu, lub co gorzej, zasadom Szeremeta.

Jeden ubolewał, że Szeremet nie kończył gimnazjum a technikę; inny, że nie skończył politechniki w Wiedniu i t. p. Tymczasem życie wlokło się ciężko! Rady ze wszech stron nie brakowało, nie stawało mu tylko nieraz jak przedtem (co rzecz nie nowa) chleba i cierpliwości. Zresztą, gdy tylko przyjmował od ludzi rady a niczego więcej nie żądał, to choć ich przyłóż do rany. Rady podobne uważał Szeremet jako lekarstwa domowe, co to choroby nie pogorszą, ale też prawie i nigdy nie wyleczą. A już co do łagodności, to trzymają niezawodnie pierwszeństwo. Widział jasno, czuł, jak te dobre rady i lepsze jeszcze chęci działały nieraz dobroczynnie na chorobę jego niedostatku. Działały chwilowo, kiedy robiono nadzieję. Szeremet czuł także w głębi duszy, że potrzeba by radykalnej kuracji, ale nie śmiał się z tem odzywać, bo ze wszystkich stron wołano, że najlepsze są domowe leki, nieryzykowne, że potrzeba tylko cokolwiek cierpliwości, a stan jego i jemu podobnych wkrótce się polepszy... Szeremet czuł jeszcze, że jest jakiś błąd z jego strony czy rana głębsza w jego sercu i jemu podobnych, którąby trzeba albo wyciąć, albo balsamu jakiego użyć na zagojenie, ale on tak tylko myślał... a niewiele jeszcze zrobił, kto pomyślawszy, zasypiał.

Tymczasem minęło dni czternaście od chwili, jak chodził do pana Racimorowskiego; czternaście dni ciężkich o głodzie i chłodzie. Przed czternastu dniami dostał był list polecający do pana Justyna, którego dotąd nie znał, bo list spoczywał jeszcze w jego kieszeni. Dwa tygodnie od chwili zawiedzionych nadziei a trzeci dzień, jak był u pana Brzozy i nie widział Stasi.

Kto nie kochał nigdy niech pomyśli, co to jest trzy dni nie mieć naprzykład żadnych procentów od kapitałów ogromnych; przez trzy dni nie widzieć grosza, albo przez trzy dni nie wiedzieć o kursach grając na giełdzie; przez trzy dni być nieusposobionym i połykać pigułki zamiast pić szampana i zajadać befsztyk; przez trzy dni nie widzieć psa lub konia ulubionego i być jeszcze do tego w obawie o jego życie; przez trzy dni nareszcie nie widzieć choćby ulubionej baletniczki!...

Kto nie kochał nigdy, niech pomyśli, jak to przykro nie mieć sposobności przez trzy dni zrobienia bodaj małej ploteczki; przez trzy dni nie widzieć nowego stroju, nie być na Wałach, nie pochwalić się zrobionem wrażeniem, nie widzieć kogoś co za nami strzela oczyma i t. p. Wielkie to są cierpienia! Cierpi chciwość, ambicja, próżność, pycha, rozwiązłość, rozum spekulancki i t. p.

Wielkie to są cierpienia zmysłów poziomych.

Kto nie kochał nigdy, niech wierzy, że są większe cierpienia: serdeczne! Cierpi dusza i wyrywa się — napróżno! Są to cierpienia podniosłe.

Tak cierpiał Szeremet już od trzech dni.

— Jakto? możnaż cierpieć nie widząc kochanki? — zawołają ludzie rozumni. I bardzo słusznie. Odpowiedzieć trzeba. Ponieważ rozumni i najzacniejsi odrzucają dziś bezwzględnie wszelką miłość oprócz pozorów wiary, to można jednak mieć nadzieję, że nie zechcą zaprzeczyć miłości rodzicielskiej? Miłość to wprawdzie spokojna i o wiele spokojniejsza od miłości dwojga kochanków, ale dosyć, że jest! O to chodziło. Jeżeli więc przypuściwszy, może cierpieć rozumny i szanowny bankier nie widząc dziecięcia swego dni kilka, to może i cierpi więcej kochanek. Nakoniec, kto zaprzeczy nawet i miłości rodzicielskiej a powie do tego, że wierzy, czyli jest wyznawcą jakiejkolwiek wiary i Boga, to jakby powiedział, że bez słońca rozwinie się roślinność, że w ogóle bez słońca świat się ostoi.

Szeremet cierpiał więc i tęsknił, a wyjść nie mógł. Mała mu na pozór rzecz stanęła na przeszkodzie, ale stanęła. Świat cywilizowany śmiać się będzie z tego na gardło, świat barbarzyński ulitowałby się tylko nad tak niedołężnym człowiekiem, który nie biegnie zaspokoić ognistej duszy dla braku obuwia na nogach. Szeremet nie miał w czem wyjść. Nędzny, zarobiony grosz wystarczał mu zaledwie na wyżywienie się. O sprawunkach myślał tylko z konieczności w ostatecznym razie. Dwa dni pracował i nie wychodził, dziś nakoniec wysłał Cezara z ukończoną

pracą i czekał na pieniądze. Cezar wyszedł jeszcze w południe i nie powracał a już godzina piąta; to noc w drugiej połowie listopada.

Około pół do szóstej powrócił wreszcie oczekiwany Cezar. Tym razem nie wielkie szczęście, ale sprzyjało, bo przyniósł zapracowane pieniądze. Cezar ukrywał się przed rodziną nie chcąc przyczyniać jej trosków. Nie dostał się jeszcze na scenę lwowską, ale tymczasem idąc za radą Szeremeta, przygotowywał się do egzaminu wstępnego na technikę. Szeremet ułatwiał mu chętnie naukę.

Tego wieczora był Szeremet bogatszy pracą dwóch dni, jak przed kilku dniami pracą całego tygodnia, bo Cezar oddał mu pięć guldenów.

Szeremet obliczył, że kupiwszy koniecznie już potrzebne buty, zostanie mu jeszcze przynajmniej na tydzień na życie. Zebrawszy się co prędzej jak mógł, a możności tej sprzyjała noc już zupełna, wybiegł w podartem niemiłosiernie obuwiu załatwić kupno. Nie czuł zimna, choć wilgotne powietrze i pierwszy śnieg sypał, raczej do olbrzymich kropli deszczu niż śniegu podobny.

W kwadrans znajdował się już na odległem przedmieściu Łyczakowskiem. Ulica prawie ciemna, światło latarń po stronach oświeca ledwie chodniki, wieczorem i w tak szkaradny czas, prawie puste. Śnieg sypał nieustannie i stopiony pod nogami przemieniał się w wodę. Ale powietrze nieznośne, woda pod nogami, i ciemność w ulicy, nie interesowały Szeremeta, szedł coraz prędzej.

Już miał skręcić w uliczkę po za cerkwią św. Piotra i Pawła, gdy postać jakaś wysunęła się z uliczki i przeszła mimo niego. Nieznajomy stanął nagle, jakby chciał się przypatrzyć Szeremetowi mającemu nadążyć pod latarnię. I w chwili, kiedy Szeremet pokazał się w świetle, nieznajomy zawrócił nazad w uliczkę i pobiegłszy za Szeremetem zawołał po imieniu. Szeremet obrócił się i stanął, bo ciemność zupełna przeszkadzała rozpoznaniu postaci. Dopiero zbliżywszy się, poznał Szeremet pana Boromeusza, który rzekł zcicha:

— To ja! ja jestem, jak się pan miewa? I zapomniałeś o naszem wygnaniu?

— Ach! nie mów pan tego! Wierz mi raczej, że nie mogłem być prędzej jak dziś.

— Chodź pan ze mną do miasta, mam pilny interes!

— Może kto zachorował? — zapytał Szeremet głośniej zadrzawszy.

— Dotychczas jakoś się trzymamy, ale mogłoby to przyjść, jakbyśmy dłużej posiedzieli nie paląc w piecu. Dla tego też chciałbym pójść do miasta, aby gdzie pożyczyć kilkadziesiąt centów.

— Pożycz pan u mnie, jestem dzisiaj bogaty.

— No? Dostałeś pan może jaką posadę? A czasby już był, aby przestali pana uwodzić.

— Spodziewam się, że wkrótce się wystaram. Ale szkoda czasu, chciałbym jeszcze pomówić z paniami, jeżeli pan pozwoli.

— Nie godzi się tak mówić do mnie, bo jesteś u nas zawsze pożądanym gościem. Lecz daj już kiedyś łaskaw guldena, ja tu jeszcze wstąpię po chłopca, aby drzewa przyniósł.

— Ja kupię! Chodźmy odrazu, ot tam na rogu widzę sklepik... i tak noc. Zresztą nie święci garnki lepią.

I poszli do pobliskiego kramu, a wziąwszy każdy po kilkanaście polan, puścili się szybkim krokiem w głąb' uliczki ciemnej. Pan Boromeusz nieprzyzwyczajony do podobnego rodzaju pracy, nie był w stanie donieść i musiał połowę złożyć na ręce Szeremeta. Kiedy weszli już w sień, rzekł zcicha pan Boromeusz:

— Nie rzucaj pan! Ja pocichu zdejmę... A nie przestrasz się naszej nędzy, bo od kilku dni bardzo koło nas kreto. Jeżeli tak dalej będzie, to...

I nie skończył, bo Szeremet wszedł już do pokoju.

W kącie siedziała Stasia i pani Boromeuszowa i szyły przy jednej niejasnej świecy. Na środku stały Melanja i Urszulka zajęte zwijaniem nici z motka na kłębek. Urszulka pełniła funkcję, jaką często zastępują dwa krzesła, to jest trzymała oburącz motek a Melanja nawijała.

Na widok Szeremeta Stasia odetchnęła, pokraśniała i znowu pobladła. Położyła robotę i podniosła oczy piękne i pełne wyrazu, choć czerwone od płaczu.

— Ot dałybyście już spokój tej robocie po nocy — odezwał się pan Boromeusz dawszy znak żonie, która powstała i wyszła do sieni.

Pan Boromeusz z żoną zajęli się zapaleniem w piecu i przyrządzeniem objadu czy kolacji? Mogło być jedno i drugie razem, co najczęściej się wydarza ludziom, którym raz braknie pierwszych potrzeb do życia.

Nikt w domu oprócz Melanji nie starał się ukrywać rzeczywistego położenia przed Szeremetem, który zresztą wiedział o wszystkiem! Gdyby nawet nie był codziennym gościem, nie naradzał się wspólnie ze Stasią, na pierwszy rzut oka mógł był domyśleć się całej, rzeczywistej, okropnej nędzy. Wszystko, od sprzętów aż do odzienia zmienione było, bo meble zabrali wierzyciele i rzeczy lepsze, reszta zaś, co uratować mogli, sprzedawali codzień, aby wypłacać natrętniejszych jeszcze wierzycieli jakimi byli to rzemieślnicy, to handlarze wiktuałów, piekarze i t. p. Słowem, cały zasób ostatków, rozbiły pomniejsze długi we dni kilka. Było to tem okropniejsze, tem cięższe do zniesienia, że przyszło na raz, że rodzina ta nie schodziła powoli od mniejszych braków do zupełnych, od znośnej biedy do ostatecznej nędzy; ale ujrzała się nagle — w nędzy!

Szeremetowi serce pękało, bo z wyjątkiem pana Boromeusza narzekali wszyscy, a Stasia bez narzekania pracowała dzień i noc. Ona jedna dziwiła się, że chociaż pracują wszyscy, praca ta nie wystarczała na najpierwsze potrzeby. Gdzieś wszystko ginęło i to w jednej chwili. Dziś mieli kilka guldenów, to dziś one stopniały bez śladu.

Minęło może piętnaście minut od chwili przybycia Szeremeta, kiedy zgadało się coś o nagłem usunięciu z urzędu pana Boromeusza. Melanja nie poważyłaby się nigdy obwiniać ojca bezpośrednio, odezwała się jednak tak, że oburzyła Szeremeta bardziej, niż może prostem złożeniem całej winy na ojca.

— Doprawdy — zaczęła jakby odniechcenia — ile razy teraz myślę co musiemy znosić, to zawsze mi się zdaje, że wszystkiemu temu winien rok 1863...

— Co też ty mówisz? — przerwała łagodnie Stasia.

— To zapytaj tata, dlaczego miejsce stracił? Zresztą kto dzisiaj z nami żyje z tych ludzi, którzy nas wtedy potrzebowali, kto potrzebuje tata?

— Może pani zechce zaliczyć mię, choć mnie jednego — odezwał się Szeremet. — Zdaje mi się, że pani powiedziała to co słyszałem, więcej jako wypomnienie ludziom, niż czasowi, który nas uniósł wszystkich. Proszę zresztą pomyśleć, że ludzie zawsze tacy sami, czy był rok 1863 czy nie; kogo nieszczęście prześladuje, od tego stronią. Niech się pani nie gniewa, ale to coś pani powiedziała gotówbym nazwać zbrodnią! Gdyby mi to powiedział mężczyzna, nie dziwiłbym się, ale pani! Polka.

— Więc mam być ciemną, wierzyć ślepo, że to było dobrze?

— Gdyby w to wierzyć kazał jeden człowiek i robił jeden, to co innego, mogłabyś pani nie wierzyć; ależ wierzyć kazał cały naród, bo cały niemal naród brał udział. Dzisiaj narzeka przypuśćmy kilku, niech sobie nawet kilkunastu; ale wygodnie im z tem narzekaniem, i pewnie mogą wymyślać, z a p e w n i e i m n a w e t w o l n o. Ale tam gdzie była rospacz, gdzie nie było wyjścia, tamby niech byli poszli i narzekali! Może na ich głos byłoby nie przyszło do proskrypcji, może byliby nie zabierali do wojska mężów od żon i dzieci, młodzieńców matkom! Lecz poco tam było iść tym dzisiaj narzekającym! A zresztą ludzie nie wszyscy jednakowe mają wymagania; może tamci co szli do lasów i ginęli, chcieli czegoś więcej jak chleba powszedniego. Pozwolisz pani, że sąd nad sumieniami należy tylko Bogu, więc nakoniec i niema nikt prawa sądzić tej katastrofy, a cóż dopiero mówić o własnej niedoli, niby to przez rok 1863 sprowadzonej...

Melanja zaledwie była w stanie dosłuchania do końca Szeremeta i zaledwie umilkł odezwała się zirytowana:

— Możesz pan mówić, że nikt nie ma prawa? Ja się o to nie sprzeczam, jestem pewnie nie gorszą Polką jak Stasia, ale właśnie mi o nią chodzi. Gdyby tato nie stracił miejsca, nie bylibyśmy przyszli do ostatniej można powiedzieć nędzy.

— Ależ — chciał przerwać Szeremet.

— Proszę pana, słuchaj pan, zaraz skończę. Przed panem nie mamy się co ukrywać, kiedy już o to idzie, abyś się przekonał czy mam słuszność? Ja wiem przecie, że pan mię zawsze posądzałeś o brak uczucia, to mi przykro! Otoż widzisz pan, ja tak dobrze czuję jak moje siostry, ale boli mię, że nie mogę nic pomódz. Ja temu nie winna, że nie mogę pracować jak Stasia, więc to mię boli! Ona po całych nocach robi, robi więcej od nas wszystkich.

— Melanjo! — zawołała Stasia — co też ty mówisz?

— Mówię prawdę! Przypatrz się jej pan, ja ona już wygląda, a dopiero trzy tygodnie po nocach pracuje. Pan dobrze powiedziałeś, że to nie rok 1863, ale ludzie winni. Ja się nie gniewam o to, bo nie umiałam tego dobrze wypowiedzieć. Pewnie, że ludzie winni, niektórzy nie poznają nas teraz nawet na ulicy; pan jesteś wyjątkiem, ale pan kochasz Stasię, to jesteś związany z nami. Zmartwiłam pana, ale mi teraz lżej, bo przynajmniej będziemy już znowu wszyscy w zgodzie.

— O, z pewnością! — zawołał Szeremet — i przepraszam panią, że się uniosłem — a zwróciwszy się do Stasi, rzekł ciszej:

— Miej pani litość nad sobą i nademną trochę!

— Melanka ma moc przekonywania; uwierzyłeś jej ślepo — odparła Stasia z uśmiechem.

— Ja wierzę oczom moim i widzę, że Stasia bardzo źle wygląda.

— Zasmuciłam się trochę, bo nie byłeś trzy dni u nas, czemu?

— Wierz mi, że nie mogłem; ale nie zamawiaj, przyrzecz mi, że będziesz pracować z umiarkowaniem.

— Od kiedyż należysz do umiarkowanych?

— Stanisławo! twoje żarty mię bolą, bo udajesz tylko.

— Płakałam wczoraj, płakałam onegdaj, bo nie byłeś u nas. Wierzę, żeś nie mógł; ale ja płakałam choć nie wiem czemu. Dziś jestem wesołą, a ty gniewasz się za moje żarty.

— Tylko zmartwiony jestem, ale będę spokojny, wesół, tylko przyrzecz mi poprawę, nie pracuj nad siły.

— Dzisiaj, daję ci słowo nie wezmę igły do ręki.

— Chcę przyrzeczenia i na dalej.

— No, słowo i na później.

— A teraz — mówił Szeremet coraz ciszej — musisz mię Stasiu posłuchać.

— Muszę?

— Przecie nie pogniewamy się; musisz, bo będę prosił jakbyś nie posłuchała. Słuchaj: nic nie macie, ty pracujesz i tracisz zdrowie, ja się martwię, otoż będę przynosił co będę mógł, ile zarobię, koniecznie, aby wam pomagać, abym ja mógł swobodniej zajmować się interesami. Powiedz nawet rodzicom i poproś, niech tego nie uważają jakoby co nadzwyczajnego, broń Boże, jakby poświęcenie się jakie. To rzecz prosta, prawda? Nie ma się czego wahać.

— I mnie się zdaje, że to nic nadzwyczajnego, jeżel kochający ratują się. Widzisz ja się zgadzam, tylko pod warunkiem, że ty znów będziesz pamiętał o sobie.

— Stasia będzie moim kontrolorem. I wiesz co? zaczynajmy od dziś urzędowanie. Patrz, kasjer ma dwa guldeny, jeden zostawiam dla siebie, drugi tutaj.

Stasia zamyśliła się, uśmiechnęła i rzekła po chwili:

— Nic nadzwyczajnego! A przecież, gdyby o tem świat wiedział...

— Gdyby to świat chciał o wszystkiem wiedzieć d o k ł a d n i e, a po bożemu sądzić, gdyby... — rzekł Szeremet również zamyślony.

W tej chwili ozwała się głośno Urszulka wbiegając z wołaniem:

— Kawa! kawa! Stasiu zrób miejsce na kawę, zabieraj swoje roboty! — I rzuciła się na stół założony drobiazgami, że ledwo udało się Stasi uratować wszystko z rąk siostry młodszej, która zamierzała zmieść wsystko ze stołu jednym zamachem.

Zapomniano na chwilę o troskach, o niedostatku, o myśli co począć jutro. Była to jakby uczta wspaniała. Nie pito wina, a były podchmielone głowy chwilowym spokojem. Chwilowe zapomnienie o rzeczywistości stanęło w postaci szczęścia, które z nieba spada. Pani Boromeuszowa odświeżyła nawet w rozmowie mężowskie niegdyś: »jakoś to będzie.« Sam tylko pan Boromeusz, choć uśmiechnięty i zadowolony z chwili, zamyślał się często poważnie, czasem nie słyszał nawet, gdy mówiono do niego.

Nikomu tak prędko jak Aleksandrowi i Stasi nie upłynął czas.

Kiedy już wszyscy spoczęli, pan Boromeusz chodził jeszcze po pokoju i myślał, a gryzące myśli trapiły go.

— Dziecko ukochane pracą zabija się w oczach moich, i ja, ojciec, tak śmiem, tak muszę się nazywać? Niedołężny człowieku! Jeszcze dosyć masz sił a nie dosyć... Boże mój! czego? Oszaleć można, czy nie dosyć odwagi, czy chęci do pracy? Coż z tego, co począć? I tam i owdzie nic. Ludzie, co wam złego zrobiłem, czego wy chcecie od starego człowieka? Ale dobrze, teraz jak spytacie, co potrafię? powiem, że wszystko. Wszystko potrafię!

Tu zatrzymał się chwilkę, podszedł zwolna i na palcach do sofki, gdzie spokojnie uśpiona spoczywała Stasia; stanął, wpatrywał się długo i dwie łzy potoczyły się po twarzy wyschłej. Odwrócił się nagle, przeszedł kolejno koło Melanji i Urszulki, westchnął i wyrzekł półgłosem:

— Boże mój! za co mię tak pokarałeś? I kiedyż Boże zawołamy wszyscy, że tylko Ty światem rządzisz i ludźmi?

Świtało a Brzoza oka nie zmrużył, zawitał dzień posępny, lecz on nie spoczął. Pożegnawszy dzieci i żonę i ułożywszy sobie plan jakiś, chciał wychodzić. Wszyscy zapytali:

— Dokąd tak rano?

— Rano? Nie wiecież, że do miasta daleko? A mam pilny interes. Miejcie nadzieję, bo mi przyszła myśl doskonała. Nie trzeba się tylko opuszczać. Ale, ale, ty Stasiu nie zapracowuj się tak bardzo, bo to zresztą i nie będzie potrzebne.

To powiedziawszy, wyszedł z domu. (C. d. n.)

Rejtan.

Tragedja historyczna w pięciu aktach

przez

BRONISŁAWA KOMOROWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Scena V.

KRÓL, PONIŃSKI, PAŻ (*u drzwi*).

PONIŃSKI (*natarczywie*).

Sam oto straszną przynoszę żałobę
Panu mojemu! — Jeszcze zgrozą pałam,
Bowiem ohydnie zelżono osobę
Moją, i w oczach całego narodu!
Jak już wiadomo pewnie...

KRÓL.

Tak, niestety!
Myślimy właśnie o tych mrących z głodu
A nieugiętych Ichmościach. Do mety
Chcą — widno — dobiedz strasznej i szalonej,
Ile, perswazje że im nie skutkują,
Boć już starania były z naszej strony
Złamać ten upor...

PONIŃSKI.

O, niech więc poczują
Całą powagę tego majestatu!...
(*Klęka przed królem*).
Najmiłościwszy panie! ufam święcie,
Że nie zostawisz mię na hańbę światu
Dziś rzuconego... Racz zatem przeklęcie
Swoje królewskie rzucić na tych panów,
Jak też ukarać Ichmościów infamią,
I mię przeprosić każ im wobec Stanów! —
Czyż dla tych, co to innego okłamią,
Za sroga kara ta?

KRÓL (*podnosi go z kolan*).

Widzimy z smutkiem,
Że te poniekąd słuszne wymagania
Waści, ramieniem władzy naszej krótkiem
Nie przejdą w życie. Ta Izba zasłania
Ichmościów, nasze rozkazy więc chybią.
Zważ więc, czy zda się, narażać powagę
Królewską, z ludźmi, którzy na śmierć dybią?

PONIŃSKI.

Przychodzę jednak po miecz i po wagę
Najmiłościwszy panie, jak do króla
Przychodzi wszelki, najlichszy poddany.
Czyż miałbym sądzić, że mój król otula
Purpurą owych panów?...

KRÓL (*zagadując*).

Stany, Stany,
Stany poselskie mogą tu jedynie
Być prawym sędzią mój oskarzycielu!
Zresztą, my widzim w tej całej przewinie
Ichmościów, drogę do pewnego celu;
Boć to każdemu posłowi przysługa
W Izbie sejmowej cała wolność głosu:
A jak się Waszmość uważasz za stróża
Rzeczpospolitej, i ów tego losu
Chciał praktykować. Każdy ma zachcenia!
A jeśli owe wiódł z uszczerbkiem chwały
Cudzej, jest jużci winnym „obrażenia,“
Więc wytocz Waszmość rzecz przed trybunały —
Ot i jedyny, a bardzo godziwy
Sposób Waścinej drogą satysfakcji...

PONIŃSKI.

Tak?... to więc przyjdzie panie Miłościwy
Uwierzyć, com już słyszał o tej frakcji,
A co królewskiej to zatamowanie
Sprawiedliwości i dziwna życzliwość
Stwierdzają... Błagam, Miłościwy panie!
Królewską uczyń mi tu sprawiedliwość,
Bo sprawdzę gorżko rozgłos pospolity
O całej sprawie tej...

KRÓL.

Przez Boga! co to
Chciałbyś Waść sprawdzać?

PONIŃSKI (*spokojniej*).

Owego banity
Przypomnij królu, co z szwedzką hołotą
Naszedł Ojczyznę na krzywd swych pomszczenie —
Pomnij, i głos mój wysłuchaj żebraczy,
Bym w to fatalne nie wpadł przeznaczenie:
Pokrzywdzonemu blizko do rospaczy! —
O satysfakcję błagam! Hańby mojej
Piekło, szatany na myśl mi napędza...

KRÓL (*mocno zakłopotany, mięknie widocznie*).

A niechże Waszmość w żalu się ukoi!
Jakoś się przecie poskromi ta jędza...
(*Myśli chwilę*).
Ot — właśnie mamy wyborne sposoby
Załagodzenia sprawy tej, co drażni
Tak bardzo wszystkich...
(*Bierze go za obie ręce, i w oczy mu*).
Tu, w obec osoby

Królewskiej, gdyby Rejtan najwyraźniej
Przeprosił Waszmość pana i ustąpił,
Czy byś zapomniał już swojej obrazy?

PONIŃSKI (*po chwili namysłu*).

O! jam do niego panie! moją krwią pił,
A on słodkiemi miałby mię wyrazy
Zażegnać?! — Sposób taki by ubliżył
Poczuciu krzywdy mojej!

KRÓL.

Ależ bracie,
Miłości trochę!

PONIŃSKI.

Tem bym się poniżył
Bardziej, bo zamiast znaleźć w majestacie
Waszej królewskiej Mości moją sławę,
Musiałbym do niej iść różnemi targi —
A serce moje hańbą straszną krwawe,
Sprawiedliwości chce dla mojej skargi!

KRÓL.

Ha, innej drogi rozum nie podnosi!

PONIŃSKI (*po namyśle*).

Więc dobrze... jeśli pan Rejtan ustąpi
Z Izby sejmowej i tu mię przeprosi:
Zgoda! — Lecz jeśli choć w jednym poskąpi
Warunku, sprawa dalej się potoczy. —

KRÓL.

Więc poprobujmy tego animuszu!
(*Dzwoni i pisze słów kilka. — Do wchodzącego Pazia*).
Niechno mi Waszmość co rychlej poskoczy
Do Izby posłów z tem pismem.

(*Paż oddala się*).

Sojuszu
Jest więc nadzieja! a resztę miłością
Skończym.

PONIŃSKI.

Zastrzegam jednak Miłościwy
Panie: że z wszelką, ścisłą formalnością,
Jako w jedyny sposób mi godziwy,
Załatwim zgodę owem przeproszeniem;
Nadto Jegomość przyrzecze mi święcie
I uroczyście zaręczy sumieniem,
Że mi już więcej nie stanie na wstręcie —
Więc prosto: nogą więcej nie postanie
W Izbie poselskiej. Może sobie skrycie
Wyjechać do dom, lub rozchorowanie
Udać; — zaś ja mu zabezpieczę życie,
Zdrowie, majątek i sławę. Na świadka
Biorę królewską Waszą Mość: chcę zgody!

KRÓL.

Rzecz się ułoży ta. Patrzmy ostatka!
Ach, jakież mamy rozliczne powody
I my, pragnienia co rychłego miru.
Czas jakiś straszny, wszystkich nas dziś truje;
Bałwan się zerwał z dziejowego wiru...

(*Wchodzi Paż*).

Cóż?

PAŻ.

Jest Jegomość —

KRÓL.

Proszę...

Scena VI.

DAWNI, REJTAN.

REJTAN (*ujrzawszy Ponińskiego przystanął*).

Sąd tu czuję!...

KRÓL (*słodko do Rejtana*).

Prosimy Waści tu w pewnej potrzebie...

REJTAN.

Stawam — na roskaz mego pana, pilny.

KRÓL (*opiera się na jego ramieniu, prosząc*).

Słuchaj nas Wasze! jeślić Bóg na niebie
Miły i jeśliś nam zawsze przychylny,
To ustąp nieco z swojej wytrwałości
W zamiarze, któryć żadnych nie rokuje
Owoców...

REJTAN (*cofa się o krok i po chwili z głębokim ukłonem*).

Sługą ja królewskiej Mości
Do grobu... jednak słów tych nie poczuję — —
Zatamowanie sejmu tego, jedne
Z zatamowaniem ran mej ziemi; stałość
Moja na sprawy sięga niepowszedne!
I nie sądź panie! że tylko zuchwałość
Szalona, w tym mię występie popiera:
Rozkaż — ustąpię... lecz roskaż wyraźnie!
Tyś pan — przez ciebie człek roskaz odbiera
Boży... Lecz wierzaj królu! że mą kaźnię
Tak nie opuszczę w sposób dobrowolny!...

PONIŃSKI (*na stronie*).

Łotr!

KRÓL.

Jako żywo! czy chciałbyś doczekać
W Izbie poselskiej aż na sąd zatrąbią?
Namyśl się przecie! Cóż pomoże zwlekać?...

REJTAN.

O! niechaj cichy grób mi tam wyrąbią!
Nie pora teraz zatęsknić do życia;
A dla mnie wcale!... Snać, ten los mój lichy
Bóg mi przeznaczył jeszcze od powicia —
Niechże przebaczy umarłemu grzechy!
Jednak ty panie! jeśli bezowocnym
Osądzasz czyn mój, roskaż? a wraz złożę
Tę hardość. Chrystus mi będzie pomocnym:
Poddam się tobie!...

(*Głosem okropnym do Ponińskiego zwrócony*).

Jednak nie otworzę
Ogrojca mojej Ojczyzny nikomu,
Co czyn Judasza chciałby spełnić na niej...
Jam nieugięta straż mych ojców domu,
Ja zagrożonych piskląt straż od kani,
Chronię to małe nieszczęsne biedactwo
Od szpon drapieżcy...

(*Chwyta Ponińskiego za rękę i okropnie*).

Więc w oczy raz jeszcze
Mówię: nie puszczę!!...

KRÓL (*powstrzymując go*).

Cóż to za dziwactwo?...

REJTAN (*konwulsyjnie*).

Nie puszczę!...

KRÓL (*zapobiegając*).

Stój Waść!...

PONIŃSKI (*wydziera mu się*).

Cha! cha! co za kleszcze.

KRÓL.

Puść!... Ach, na Boga! co byś Waść chciał czynić,
Tu, w obecności króla?

PONIŃSKI (*do Rejtana z goryczą*).

Czy szaleństwo
Godne powagi króla?...

REJTAN (*na te słowa Ponińskiego pada na kolana przed królem*).

Nie chciej winić
Krew moją, panie!... Przekleństwo, przekleństwo,
Tej krwi!... Cóż kiedy mi z tego człowieka
Patrzy nieszczęście całe mej Ojczyzny...

(*Patrzy strasznie na Ponińskiego i łamie się z popędem*).
Ha!...

PONIŃSKI.
Ten się człowiek tu strasznie rozwścieka
w obec króla, ma popis wścieklizny...

KRÓL (*drży na te słowa Ponińskiego*).
Dość, dość! — Uciekaj, uciekaj nam z oczu!...

REJTAN (*składając dłonie przed królem*).
Wybacz mi panie!...
(*Jak pierwej zbliża się ku Ponińskiemu — ten się cofa*).

PONIŃSKI.
I Waść nie usłuchasz
Roskazu króla?...

KRÓL (*do Rejtana*).
Stańże na uboczu!
Lub uchodź, nędzny!

PONIŃSKI (*do Rejtana*).
Waść mi pod nos dmuchasz,
I nie słyszałeś pewnie słów królewskich...

REJTAN (*do króla jak przedtem*).
Wybacz!... (*Do Ponińskiego*).
Nie puszczę!...

PONIŃSKI.
Cha, cha! to zabawnie!
Coś podobnego ujrzysz w szynkach szewskich...

KRÓL (*do Rejtana cały drżący*).
Waść wyjdź ztąd!... Chryste! obłąkany jawnie!...
Odejdź!... (*Dzwoni*).
Hej! (*Wchodzi Paź*).

PONIŃSKI.
Śliczna scena i dantejska!

KRÓL.
Waszmość co rychlej oddal się ztąd — każę!...

REJTAN
(*jakby się ocknął nagle, przystaje i chwyta się za głowę*).
Oh!...

PONIŃSKI.
Śmiać się będzie z tego gawiedź miejska!
Cha, cha!..

REJTAN (*do króla okropnie*).
O królu! już cię nie obrażę!
Panuj szczęśliwie nam — całemu światu!...
(*Wybiega. — Za nim wychodzi Paź*). (C. d. n)

ŚWIAT CUDÓW.

BAJKA

nie z „Tysiąca i jednej nocy".

(Dokończenie).

Z nie małem zdziwieniem ujrzała tu królowa Wodnicę... Rzecz jednak wyjaśniła się natychmiast i królowa mogła z całą swobodą oddać się rozrywkom i przyjemnościom na dworze Trata.

Jeżeli królowę zadziwiła obecność Wodnicy w królestwie gnomów, niemniej zdziwionym był Cień, ujrzawszy Toplanę. Zdziwiony, bo widok towarzyszki królowej sprawił na nim wrażenie, jak gdyby znaną mu już była, chociaż był pewnym, że spotykają się po raz pierwszy w życiu. Na pierwszy rzut oka dostrzegł pomiędzy nią, a innemi paniami, w których była towarzystwie, jakąś szczególną różnicę... coś, co ją czyniło bardziej mu swojską, bardziej podobną do tego, co znał, co lubił, do czego był przywiązany... słowem: zdała mu się być bardziej ludzką pomiędzy duchami, bardziej cielesną wśrod tych, którzy mieli kształty, ale bez ich wypełnienia... Bądź jak, bądź Cienia zachwyciła Toplana!

Ślicznež bo to było dziewczątko, jakkolwiek różna od innych! Nie tak powiewna, nie tak eteryczna, w całem swem ułożeniu jednak miała jakiś urok, którym podbijała serca. W skromnem jej spojrzeniu, w miłem ust uśmiechu było tyle naturalnego wdzięku, taka słodycz, że nawet Trat, co do piękności, stawił Toplanę obok boskiej Talis; a Cień utrzymywał, że o całe niebo jest od niej piękniejszą, lepszą, skromniejszą, bardziej kochania godną itd. — bowiem, mówiąc słowami jednego z gości: zakochał się w niej po uszy!...

W bajce czy nie bajce, młodzi mają ten przywilej, że na zakochanie nie czekają długo: spojrzeli na siebie... przemówili... z rąk uściskiem, ze zlaniem się oddechów, przeistoczył się serc stosunek: z obojętnych, nieznanych, za chwil kilka masz w nich — duszę jedną w dwóch ciałach, serce jedno, myśl jedną, chęć, wolę — wszystko!...

Tak się też stało z Cieniem i Toplaną: pokochali się jak gołąbków para — na zabój — jak mówił Trat, któren podjął się być swatem zakochanych.

Królowa rusałek mile przyjęła oświadczyny Cienia; całem sercem oddawała mu Toplanę, nie pewna tylko, jak wielki rycerz przyjmie wiadomość o pochodzeniu swej przyszłej, która wcale nie była z rodu duchów; ale dziecięciem ukradziona przez rusałki, pomimo wszystko, dotychczas nie przestała być kobietą, jak inne ziemianki...

Mogłoż co bardziej ucieszyć Cienia jak słowa królowej! — Toplana jest kobietą! Toplana człowiekiem!...

A przecież i ja duchem nie jestem!... — Cenny podarunku wróżbity! ustąp z mej piersi. Znalazłem skarb! mam szczęście, mam moją lubą Toplanę — zawołał Cień uszczęśliwiony, przybierając zwykłe swe kształty ludzkie; a wszystkie piękności stolicy zgodnie przyznały, że jako człowiek Cień jeszcze jest piękniejszym!

Bez długich zachodów, przystąpiono wprost do zaślubin, a po spełnieniu tego aktu wydano ucztę tak wspaniałą, że podobnej nie widziano jeszcze nigdy!

Wszystko cokolwiek dało się zgromadzić najlepszego, najcenniejszego, najwymyślniejszego nawet—wszystko tu miałeś!

Jadło, napoje, muzyka, ognie sztuczne, widowiska sceniczne, popisy następowały po sobie długim szeregiem, by uprzyjemnić chwilę połączenia się dwojga istot, którzy i na pustyni byliby szczęśliwymi zupełnie!...

Dnia trzydziestego trwania uczty uciechę gości przerwała okoliczność, której następstwem najprostszym było — koniec całej rzeczy! A rzecz się tak miała:

Gdy ucztujący, wysiliwszy się na życzenia pomyślności młodej parze, zabierali się do spełnienia jej zdrowia tym wymyślnym sposobem, że sztucznie urządzony deszcz z powały miał im lać trunek do gęby, — w tym czasie drzwi sali otwarły się cichaczem, i przed zgromadzonymi, w pokornej postawie stanęło coś, czego widok, ogólny śmiech wzbudził w ucztujących.

Szkaradne jakoweś indywiduum, z gębą wykrzywioną, zezowate, z twarzą którą trąd okrywał, kuląc się pokor-

nie, postępowało w ukłonach na wszystkie strony, coś niezrozumiale bełkocąc...

Toplana zanadto była zajętą rozmową z Cieniem, Wodnica zbyt pogrążona w myślach, by zwracały uwagę na przybysza; ale królowa rusałek, którą wymyślny trunek wprawił w złoty humor, ujrzawszy przybysza, krzyknęła:

— Co widzę! Strzyg! A cóż ci się stało?

Strzyg, bo to był on, struchlał; a ujrzawszy królowę padł przed nią na kolana.

— Najjaśniejsza Pani! przebacz — wołał ze łzami. — Jestem winien...

— Zkądże przybywasz? Co się tobie stało? Mów! — wołały liczne głosy.

— Natychmiast powiem wszystko. Prześwietni panowie i panie! Odarty, bez buta, zgłodniały i zmęczony, staję tu przed wami, ofiara gorących płomieni mego serca... Na stare me lata dałem się oczarować, pochwycić miłości, która też mię wystrychnęła na dudę... Przebiegłem ziemię całą, byłem nad nią i w jej wnętrzu; za nos wodzony przez moją ubóstwioną, szukałem jak największego skarbu — jej kochanka panowie!... Szukam i nie znalazłem nigdzie!... Przeklęty Cień zniknął, na moje utrapienie.

— Na pociechę twą Strzygu — ozwał się w tej chwili Cień do marszałka — żyję jeszcze.

— Ach najjaśniejszy — wybełkotał Strzyg, ponownie upadając na kolana. — Nie chciałem cię obrazić... Przebacz!

— Nie gniewam się; lecz czegożto chcesz odemnie?

— Nie ja, nie ja, ale ta nieszczęsna Leśna szuka cię.. Ah! otoż i ona! Niech sama mówi za siebie.

Jak senne widziadło w przedśmiertnej ciszy, weszła na salę; wzrok jej przeszedł twarze biesiadników, zatrzymał się chwilę nad Cieniem i Toplaną... Jęk wielki wydobywa się z piersi rusałki, bledniej bardziej jeszcze, i martwa pada na marmury.

Szczęściem, że nie zbywało wody życia! Okropiona nią, przyszła do siebie.

— Poco mię budzicie — rzekła — Kochałam i to było mem życiem. Utraty myśli o szczęściu przeżyć nie chcę. Władzco wód, duchu potężny, wzywam twej pomocy! Jako łez moich wyciekły strumienie, szukając kochanka, tak mię strumieniem rzuć pod jego stopy.

Może spojrzy, może ugasi pragnienie...

Cieniu! kochałam cię i kochać nie przestanę. Żyj szczęśliwy!

W tej chwili grom straszliwy zatrząsł posadami ziemi; gmach runął, wszystko znikło — Cień ocknął się nad strumieniem, który szumiał tocząc się z urwiska... ocknął się i przetarł oczy:

— Sen, czy jawa?...

Sen, Cieniu! A szkoda, bo się śniło pięknie...

Chłopcu nie żal było zamków i pałacu, nie żal złota i cudów; ale tęsknił za jasnowłosą Toplaną...

— Gdzież się podziała? — pytał samego siebie. — Była tu ze mną... uśmiechała się cudnie... Hej pójdę ja w góry! Pewnie ją tam wynajdę!...

. . . .

Powiadają, że w istocie znalazł kochankę. Bo ożenił się z piękną dziewczyną; zbudował nie wielką chatkę nad strumieniem, i żyją szczęśliwie.

Niekiedy tylko, gdy spojrzy Cień w przejrzyste wody strumienia, zdaje mu się, że na jego dnie odbija smętna jakaś postać, a szum strumyka zdaje się skarżyć jej głosem... Wówczas przypomni sobie Cień rusałkę i różne inne dziwa, które zapewne śniły mu się za młodu. *Zorjan.*

SZKOŁA POLSKA W PARYŻU
na Batignolles.

Przybył tu do nas pan Gałęzowski, prezes zarządu szkoły polskiej batiniolskiej w Paryżu, w celu źbierania składek na utrzymanie tego dobroczynnego zakładu; sądzimy, że to jest najstosowniejsza chwila przypomnieć zarządowi wielkie i niedarowane błędy, jakie się praktykują w pomienionym zakładzie. Gdy pisma codzienne, widząc tylko dobre strony, na złe nie chcą zwracać uwagi publiczności, aby jej nie odstręczać od niesienia ofiary — my podzielając potrzebę niesienia pomocy i nie w zamiarze odstręczenia kogobądź od niej, chcemy zwrócić uwagę publiczności na niedostatki tej szkoły, ażeby dając zapomogę, położyła warunek reorganizacji szkoły i zastosowania jej do potrzeb kraju.

Pan Gałęzowski położył może jedyną na emigracji zasługę, ale wielką: zakładając swoim kosztem szkołę polską na obcej ziemi dla sierot polskich, i wziął jej kierunek pod swoją opiekę. Następnie łączyli się do tej ofiary inni, zapisując i dając pieniądze lub książki do biblioteki (Biblioteka szkoły Batiniol posiada 20.000 tomów dzieł doborowych, przeważnie treści historycznej, gdyż tam wpłynął zbiór Lelewela); rząd francuzki, skory do pomocy Polakom, a szczególniej zakładom pożytek przynoszącym, zaczął zapomagać szkołę, aż wziął ją pod swoją opiekę (materjalnie, pozostawjając zarząd przy Polakach) i rocznie znaczne na nią sumy wydaje.

Szkoła jest urządzoną na wzór francuzki. Od szkoły polskiej, zakładanej przez Polaków, na obcej a gościnnej ziemi, moglibyśmy wymagać więcej. Gdyby zakładający chcieli zajrzeć do ustanowień komisji Edukacyjnej, zapoznali się z urządzeniami szkół wydziałowych i zastosowali się do tego — mielibyśmy szkołę o wiele lepszą, aniżeli są średnie zakłady naukowe francuzkie. Albo gdyby byli poznali urządzenie szkoły Krzemienieckiej, Kołłątaja i Czackiego kilkoletniej gruntownej pracy, na ten wzór urządzili to za granicą, czego w kraju urządzić się nie daje, położyliby większą jeszcze zasługę. A mogli to i powinni byli zrobić, bo jak z jednej strony szkoły komisji edukacyjnej a szczególniej krzemieniecka okazały się praktycznemi, i ta ostatnia w prędkim czasie doszła wielkiej sławy, gdyż były oparte na gruntownem zbadaniu potrzeb i ducha narodowego, — tak z drugiej, nie napotkaliby żadnych przeszkód i na obsadzenie posad nauczycielskich znaleźliby na emigracji ludzi uzdolnionych, którzy chętniej podjęli by się pracy w tym kierunku, choćby o suchym kawałku chleba, aniżeli, jak to ma miejsce dzisiaj, gdy noszą cegłę, kują żelazo, lub po przedpokojach panów naszych szukają chleba.

Ani przy początku, ani w ciągu kilkudziesięcioletniego istnienia szkoły myśl ta nie przeszła przez głowę członków zarządu, na których zaciążył zarzut, że utrzymują szkołę dla tego tylko, ażeby być prezesami, opiekunami i t. p.

Pozostawiając już to, a urządzając szkołę na wzór francuzki, — bo nam wszystko miłe co francuzkie, dlatego że nie

nasze, — potrzeba było zwrócić szczególną uwagę na to, ażeby to był zakład polski, szkoła polska, ażeby uczniowie nauczali się języka polskiego, ażeby poznali jeografję i historję kraju, swoich ojców, ażeby nabrali ducha narodowego i usposobili się na obywateli, którzyby mogli następnie służyć z pożytkiem dla kraju. Na to wszystko nie zwrócono najmniejszej uwagi.

Przy innej okoliczności zwracał nasz korespondent z Paryża (w 16 n. „Nowin") uwagę na te wszystkie niedostatki; nie odrzeczy będzie, sądzimy, powtórzyć to jeszcze, gdyż pomimo wielokrotnie powtarzanych, po różnych pismach tak krajowych jak i emigracyjnych, narzekań na zły stan szkoły, zarząd nie chciał zwrócić nań uwagi.

Wiadomo, że emigranci zaledwie z trudnością mogą zarobić na kawałek chleba, i pracują przez dzień cały, tak iż po większej części raz tylko w tygodniu w niedzielę są w domu, i wtedy tylko mogą mówić z dziećmi, a często i w niedzielę będąc zajęci, wcale nie mogą mieć wpływu na wychowanie swych dzieci. Matki francuzkie nie mogą uczyć po polsku, i nie zawsze chcą aby dzieci uczyły się języka, którego one nie rozumieją. Chociaż zdarzają się wypadki, w których matki same ponauczały się po polsku i z dziećmi inaczej nie mówią; ale są to zawsze wyjątki tylko. Również wiadomem jest, że nawet wówczas gdy ojciec i matka są polakami, dzieci najpierw się nauczają mowy kraju, w którym pozostają i dopiero później uczą się po polsku.

Dziecko takie biednych rodziców nie może być oddane do szkół francuzkich, bo w każdej szkole wymagają opłaty, a przytem ojciec nie zawsze może zapracować na utrzymanie rodziny i zmuszony jest posyłać dziecko do pracy. Ztąd szkoła polska na wychodztwie ma dwa główne zadania, jedno filantropijne: wychować, wykształcić sieroty polskie i dać im w ten sposób największe dobro — oświatę, i drugie narodowe: zastosować to wychowanie, jakeśmy powiedzieli wyżej, do celów narodowych. To drugie ma nietylko tę ważność, że krajowi przyspożyłoby ludzi światłych i fachowo, specjalnie wykształconych; ale tym samym ludziom ich wychowaniu nadałoby właściwy kierunek. Wychowania kosmopolitycznego dziś nie ma nigdzie. Francuzi pobierają nauki w duchu narodowym, i polacy, a właściwie dzieci Polaków kształcący się w zakładach francuzkich, na obywatelach francuzkich mają też same warunki. Tymczasem uczniowie szkoły batiniolskiej nie mają żadnego kierunku, kształcą się niby w szkole polskiej, niby jako Polacy, ale ani języka polskiego nie poznają, ani zamiłowania do Polski i rzeczy polskich nie nabierają, i ostatecznie nie wiedzą czem są, a nie są ani Polakami ani Francuzami, nie obchodzi ich ani Polska ani Francja, i są pozbawieni najdrogocenniejszego daru natury: ojczyzny.

Ludzie tacy, pozbawieni najgłówniejszej moralnej podstawy, przedstawiają smutny widok, i dają liczne przykłady demoralizacji ohydnej. Policja francuzka posługuje się nimi i z całą bezczelnością służą jej za narzędzia, a społeczność znosząc takich między sobą, rzuca kamieniami na sprawę naszą. Dzisiaj redaktorem policyjnej gazety, najwściekiej rzucającej się na to wszystko, co święte jest dla Francuza jest były uczeń szkoły batiniolskiej; nie zna on wprawdzie języka polskiego, ale umie podpisać swoje nazwisko pod każdym numerem i każdym artykułem, i nie zapomina dodawać ski. Większość jednak tej młodzieży po ukończeniu szkoły wchodząc, z przyczyn naturalnych, w stosunki z polakami, z trudnością w spóźnionym wieku uczy się języka polskiego i dziejów polskich, i wielu z nich uważa sprawę polską za swoją. Nie szkole to jednak zawdzięczać mamy.

Założenie szkoły było wielką rzeczą; kształci się tam, znajduje przytułek i utrzymanie 300, a znalazłoby trzy i więce razy tyle, gdyby były środki, bo kandydatów nie brak, jeno wakantów do postąpienia, i nikt, kto tylko może, nie powinien odmawiać swej pomocy tak dobroczynnemu zakładowi; ale też powinien dając wymagać od zarządu, ażeby zwrócił uwagę na kierunek szkoły.

Wykłady są w języku francuzkim, dozorcy francuzi, ksiądz kapelan szkoły francuz; a jest tak nie dla tego, ażeby nie było nauczycieli, ale z obawy, aby nauczyciele polacy nie wszczepiali w uczniów zasad polskich, aby ci co przyjmowali (jak w chwili obecnej) udział w powstaniu 1863 roku i są wyznawcami zasad przez powstanie wygłoszonych, nie wszczepiali tych zasad w młodzież, a wszczepianie to musiałoby nastąpić choćby nauczyciele i nie starali się o to. Zarząd chce mieć w nauczycielach powolne narzędzia na swoje usługi, zarząd krępuje się stosunkami i jest w zależności od wszechwielmożnego domu familji Czartoryskich... W tem leży całe złe, z tego płynie wszystko.

Jedynie język i historja polska są wykładane po polsku, a nawet po 1863 r. kiedy emigrowało dużo dzieci z Polski i dostawszy się do szkoły ponauczali kolegów po polsku, i język polski na te kilka lat zapanował w szkole — to i wtedy Zarząd nie pomyślał o obsadzeniu posad nauczycielskich polakami, jedynie się ograniczył do zamiany nauczycieli języka i historji polskiej, których zastąpił młodymi ludźmi.

Widzimy więc, że szkoła batiniolska, uważana nawet po prostu jako zakład filantropijny, nie może rościć sobie pretensji do wielkiej chluby z tego, bo skrzywionem wychowaniem przynosi krzywdę zarówno Polsce jak i tym, którym daje przytułek i opiekę, i można się spodziewać, że rząd francuzki zwróci na to uwagę, i skoro mu niepotrzebnemi staną się te narzędzia, bez których zresztą obejść się może, odmówi wszelkiej pomocy, a może nawet i zakład zwinąć każe. Domagamy się przeto tem silniej od zarządu, ażeby pośpieszył zreformować szkołę, ażeby reformę rozpoczął od góry, powołując do składu zarządu ludzi niezależnych, obeznanych z tego rodzaju zajęciem; ludzie tacy na emigracji znajdą się. Ażeby nauczycieli zmienił, a wziął takich, którzy są obeznani z urządzeniem szkół francuzkich, jeżeli już koniecznie na ten wzór szkoła ma być urządzoną; lecz pod warunkiem, ażeby to byli Polacy, i ażeby swojem moralnem postępowaniem nie dawali gorszącego przykładu, jak to się dzieje dzisiaj; przyzwoitość nam nie dozwala wymieniać faktów.. Ażeby również na dozorców brani byli Polacy.

Głównie jednak kładziemy nacisk na sam zarząd; mogą w nim pozostać pp. Gałęzowski, Klaczko, Br. Zaleski; ale potrzeba nadto wezwać ludzi równie światłych a niezależnych.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller.

Druk Kornela Pillera.